

# Labirynt Nekrośiusa

W olśniewających „Dziadach” Eimuntas Nekrošius zrywa z polską tradycją czytania arcydramatu Mickiewicza, szuka ukrytych znaczeń zapisanych w nim słów. Podszywa spektakl gorzką ironią, daje wybrzmieć śmiechowi, mnoży zagadki i pytania

Jacek Wakar, Polskie Radio

**N**ekrošius to kawałek mojej teatralnej młodości. Jego inscenizacje były żelaznym punktem toruńskiego festiwalu Kontakt w czasie, gdy kierowała nim Krystyna Meissner. Ona odkryła przed naszą publicznością i krytyką bogactwo litewskiego teatru wraz z grupą jego najważniejszych twórców. Nekrošius miał wśród nich miejsce szczególne. Był punktem odniesienia, ojcem założycielem, to wobec niego ustawiali się inni, próbując iść podobną drogą lub zdobywając na bunt przeciw guru. W Toruniu pokazywał „Hamleta”, „Makbeta”, „Otella” Szekspira. Zanurzał je w litewską ikonografię, dawał bohaterom pierwotne instynkty, krzesał na scenie ogień, by osadzić ponadczasowy dramat w przestrzeni nieubłaganej natury. Był najuważniejszym czytelnikiem Szekspira, dbał o to, by nie przeinaczać sensów scen i słów. Tyle że wyciągał z nich czasem zaskakujące wnioski, jakby był uwolniony od całej tradycji wystawiania tych utworów.

Już kiedyś przytaczałem tę anegdotę, ale powtórzę, bo o reżyserskiej strategii wielkiego Litwina mówi bardzo wiele. „Trzy siostry” Czechowa oglądałem w Toruniu wraz z moim nauczycielem krytyki Andrzejem Wanatem, był rok 1995. Podczas czterogodzinnego przedstawienia co jakiś czas spoglądałem na Wanata, a jego twarz wydawała mi się coraz bardziej biała. Widział, jak Nekrošius nie pozostawia prawie niczego z tego, z czym kojarzył mu się ukochany dramat Czechowa. Po zakończeniu szybko poszliśmy do teatralnego baru. Wanat wychylił dwie pięćdziesiątki wódki, jedną po drugiej. – Ja go nienawidzę, ale on jest, kurwa, genialny – wyrzucił z siebie jednym tchem.

Był w wypowiedzi Wanata zachwyt, ale wyobrażam sobie, że reakcje po „Dziadach” w Narodowym mogą być akceptacji pozbawione. Słyszałem przecież, wychodząc po spektaklu, że głupota reżysera jest bezgraniczna, że nie wiadomo, po co ta sekwencja, po co inna. To nie tak, że Nekrošius jest traktowany inaczej tylko dlatego, że jest Eimuntasem Nekrošiusem. Skoro on tak przyrzekał nam „Dziady”, padamy na kolana. Gdyby podobnie zrobił to ktoś inny, wrzucilibyśmy ramionami. Sprawa jest prosta. Od śmierci Jerzego Grzegorzewskiego nie mamy w Polsce reżysera, który mógłby równać się z Nekrošiusem skalą wyobraźni – Krystian Lupa operuje inaczej, światy Warlikowskiego i Jarzyny też rządzą się całkiem odrębnymi zasadami. Litewski artysta buduje swój teatr w oparciu o obrazy, symbole, a ich znaczenia wywodzi wprost z literatury. Zawsze uciekał od doraźności, nie chciał publiczystycznie komentować czegokolwiek. Tym podejściem przed laty nas zainfekował, bo dostrzegaliśmy w nim ucieczkę od polityki, pokazywania rzeczywistości w skali jeden do jednego. Zdarzało się – choćby w operze „Qudsja Zaher” Pawła Szymańskiego wystawionej trzy lata temu w warszawskiej Operze Narodowej – że poza serią statycznych, choć pięknych obrazów, pozostawało niewiele. To był jednak odosobniony przypadek. Pamiętam sceny z widzianych dawno temu inscenizacji Nekrošiusa, pamiętam wielkie wrota z jego „Idioty” według Dostojewskiego pokazanego w 2009 roku na wrocławskim festiwalu Dialog. Może to podejrzanie ładne porównanie, ale oglądając spektakle Litwina, mam wrażenie, iż wszyscy stoimy przed takimi wrotami. Otworzyć je niełatwo, są ciężkie, stawiają opór. Za nimi zaś rozciąga się labirynt. Teraz należy wejść na jego ścieżki i szukać własnej drogi.

„Dziady” przypominają właśnie taki labirynt. Od premiery przedstawienia w Narodowym mijają dni, a ono powraca do mnie pytaniami. Czasem znajduję na nie odpowiedź, innym razem pozostaje bezzadny. Makówki, które wykwitają na scenie w pierwszej scenie, kiedy pojawia się Dziewczyna (Wiktoria Gordeckaja), są też przy łożu Senatora (Arkadiusz Janiczek), a także powracają w finale. Czytam, że maki były motywem nagrobnym, symbolizowały zmartwychwstanie. Świadczyłoby to, że Eimuntas Nekrošius rozgrywa „Dziady” wyłącznie między umarlymi, którzy na jedną noc obrzędu powstają z grobów, aby zbić się we wspólnotę. Tyle że w tej inscenizacji owa wspólnota nie jest niczym scementowana, łączy ją tylko uczestnictwo w rytuale, dzielą niezłatwione na Ziemi sprawy. Nekrošius z osobna charakteryzuje każdego z tej gromady, dając mu indywidualne cechy. Zespół Teatru Narodowego wykorzystuje szansę, bowiem nikt w tym spektaklu nie jest bezimienny. Może nie mieć indywidualnych kwestii, ale przyciąga wzrok scenicznym działaniem, funkcją w tłumie, stającym się zbitką odrębnych ludzkich istnień.

Nekrošius kazał aktorom chodzić i biegać po scenie, którą pokrywają doły. Może to leje

po bombach lub meteorytach, a może otwarte groby, bo z nich powstali umarli. Mogą być też dołkami do golfa, wiele skojarzeń jest uprawnionych. Nie od rzeczy pierwsze słowa Gustawa (w zgodzie z oryginałem Adama Mickiewicza) to wiersz „Upiór”. „Serce ustało, pierś już lodowata / Ścięły się usta i oczy zawarły / Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata! / Cóż to za człowiek? – Umarły”. Zatem wszystko już się zdarzyło, jesteście gdzieś pomiędzy światami. Może w przedśionku piekła? Oprowdza nas po nim Gustaw-Konrad (Grzegorz Małecki), wchodzący na scenę przez wycięty kontur kształtem przypominający wileński pomnik wieszczka. Kontur ten staje się oknem na świat, wskazuje, że nasze myślenie nie tylko o romantyzmie naznaczone jest Mickiewiczem, przez niego przefiltrowane. Konrad Małecki, pozostając bohaterem „Dziadów”, wchodzi też w rolę samego poety. Najwyraźniej i najbardziej ironicznie widać to zaraz po Wielkiej Improwizacji, gdy wyczerpanego mężczyźne diabły okładają egzemplarzami dramatu. Do wystającej dłoni wkładają pióro, prosząc o autografy na kolejnych książkach – dla Słowackiego, Norwida, Towiańskiego. Publiczność śmieje się, bo Nekrošius zdejmuje z wielu fragmentów patos, pozwala, aby „Dziady” odkryły przed nami obecny w nich humor. Nie ma snu Senatora, za to Arkadiusz Janiczek wykonuje wiersz autora „Pana Tadeusza” „Komar, niewielkie lichy” zakończony wersem: „Tylko, kiedyś tak mały, kąsaj, a nie bzykaj”. I odpędza natrętnego

owada niczym senną marę. W scenie wzięzionej aktorki wykrzykują: „Pójdźmy!”, jakby szykowali się do ataku na niewidocznego wroga. Z kanki na mleko buduje się barykadę, ktoś ostrzeliwuje się... z nogi.

„Dziady” to widowisko gorzko ironiczne. Nie ma sensu zestawiać tej inscenizacji z legendarną wersją Kazimierza Dejmka ani ze współczesnymi odczytaniem Michała Zadary albo Radosława Rychnika. Warto się przejąć, że w pejzażu polskiego teatru dzisiejszego czasu pozostanie ono osobną wyspą. Artysta z Litwy od dawna nie startuje w żadnych konkursach, doprawdy mało go interesują nasze doraźne rankingi. Bardziej potyczka z Mickiewiczem. Chociażby Wielką Improwizacją, którą Grzegorz Małecki mówi tak, jakby wypowiadał ten tekst po raz pierwszy. Niemal na białą, prawie bez gestu, jakby dopiero poznawał nowe słowa. Pierwszym z nich towarzyszy dźwięk trzeszczącej starej płyty – znowu usłyszymy to, co słyszeliśmy już wielokrotnie? Nie, gdyż Małecki zmienia Wielką Improwizację w wyznacznik przegranej racjonalisty, logika, co nie umie uporządkować świata, choć zdaje sobie sprawę z własnego potencjału. Świetna kreacja Małeckiego jest zwycięstwem aktorskiej pokory, budowana z kilku mocnych znaków, jak ciężki krok, mocny głos, rozczapierzone palce rąk. Mateusz Rusin

Grzegorz Małecki  
jako Gustaw-Konrad

rzuca zupełnie inne światło na księdza Piotra, w widzeniu zamieniając go w... bociana, targanego na różne strony przez powołanie i misję ocalenia narodu. Kilkomu ostrymi kreskami powinności stania po stronie dobra swą Kmitową rysuje Magdalena Warzecha – cieszy powrót zbyt rzadko obecnej na scenie znakomitej aktorki.

Równoprawną wobec Konrada postacią staje się Guślarz w doskonałym wykonaniu Marcina Przybylskiego, potem przeistaczający się w Diabła. Nie ma wątpliwości, że mamy w całości do czynienia z szatańską rozgrywką, co przywołuje inne znaczenie samego obrzędu. U Nekrošiusa jest on w istocie „świętokradzki”, choć pozostaje pytanie, do jakiego porządku się odwołuje i do jakiego staje w kontrze. Przyznaję, mam problem z odpowiedzią na pytanie, czy świat tych „Dziadów” zawiera w sobie Boga, czy tylko dojmujący Jego brak.

Powróć do „Dziadów” Eimuntas Nekrošiusa, jeszcze raz zagłębię w ich labirynt. Teatrowi Narodowemu przybyło przedstawienie dla jego misji doskonałe. Kto jeśli nie narodowa scena ma przewartościowywać klasykę, oświetlać ją inaczej, choćby litewskim światłem?

„Dziady” Adama Mickiewicza  
| reżyseria: Eimuntas Nekrošius  
| Teatr Narodowy w Warszawie